

PAULINA MIĘKOŚ-MAZIARSKA

KTOŚ TU JEST

Siedem osób odciętych od świata
w górskim schronisku Rock Valley
odkrywa, że jedna z nich jest **mordercą.**

Wydawnictwo M-art

Copyright © Paulina Miękoś-Maziarska 2025
Copyright © Wydawnictwo M-art 2025

Redakcja i korekta
Wydawnictwo M-art.

Projekt graficzny okładki
Paulina Gawin Design

Wydanie I

ISBN 978-83-969650-1-1

Paulina Miękoś-Maziarska

KTOŚ TU JEST

Rozdział 1. Drapieżnik

Zwierzę wyczuło obecność. Obserwowało z ukrycia każdy ruch, gest, wskaźnik przesuwający się po planszy. Intensywnie kalkulowało – zaatakować czy zostać w kryjówce? W bezpiecznym miejscu za fotelem. Od pierwszych tygodni życia było drapieżcą i takim pozostanie aż do śmierci. Analiza odbywała się na poziomie instynktownym, a jej wynik zaowocował dynamiczną decyzją. Kot opuścił kryjówkę.

Kolejne kroki stawiał tak, by pozostać nieusłyszanym i niezauważonym, miał to w naturze, w genetyce swojego gatunku. Skradał się cicho, kroczył po kroczeniu. Ten obiekt nie był jednak idealnym, możliwym do uśmiercenia celem ataku. Zwierzę nie czuło mięsa. Widziało natomiast przesuwający się wskaźnik. Sunął po ekranie telewizora.

„...najintensywniejsze opady śniegu najbliższej nocy wystąpią w stanie Colorado i Utah...”

Kot przygotował się do skoku, przykucnął, napiął mięśnie, potupał w miejscu i wybił się na odległość kilkukrotnie większą, niż sam mierzył. Jego pazury trafiły na zimną powierzchnię ekranu, która tylko na moment drgnęła pod jego ciężarem. Wskaźnik, jakby świadom swojego przeznaczenia, natychmiast zmienił kierunek, umykając przed niewidzialnym napastnikiem. Kot zsunął się na podłogę, miękko lądując na łapach, jakby to było dokładnie to, co planował od początku. Podniósł głowę, czujnie nasłuchując, czy jego niepowodzenie nie zwróciło uwagi otoczenia.

Kot, niezrażony nieudaną próbą, znowu przykucnął gotów do kolejnego ataku. Jego oczy śledziły ruchomy cel, a uszy, delikatnie nastawione do przodu, wychwytywały każdy dźwięk. Po chwili, kiedy

wskaźnik znowu zbliżył się do krawędzi ekranu, kot wykonał kolejny skok. Tym razem jego pazury zaczepiły się o ramę telewizora. Zwierzę usiłowało złapać równowagę, balansując na krawędzi urządzenia. Jego wasy drżały, a ogon poruszał się gwałtownie, jakby chciał mu pomóc utrzymać stabilność. Po chwili jednak kot zrezygnował z tej niekomfortowej pozycji i z gracją zeskoczył na podłogę. Przycupnął obok fotela, nieco sfrustrowany, ale nie zniechęcony. Jego instynkt podpowiadał mu, że zabawa dopiero się zaczyna. Usiadł na tylnych łapach, zaczynając intensywnie myć swoje futro, jakby chciał w ten sposób uspokoić emocje i zredukować poziom adrenaliny.

Gdy skończył, ponownie skoncentrował się na ruchomym celu. Wskaźnik nie przestawał migotać nieświadomy zagrożenia, jakie na niego czyhało. Kot powoli, niemal niepostrzeżenie, przysunął się bliżej ekranu. Był gotów na kolejną próbę, jego umysł kalkulował, jego ciało przygotowywało się do skoku. W tej chwili nie liczyło się nic więcej, tylko on i cel. Jego świat skurczył się do tej jednej chwili, do tego jednego zadania. Z niespotykaną precyzją kot wystrzelił naprzód. Tym razem wskaźnik nie miał szans. Pazury kocura zatrzymały się na powierzchni ekranu, a wskaźnik nagle przestał się poruszać. Kot zwyciężył, choć jego łup był nieuchwytny. Zadowolony, usiadł na tylnych łapach i zaczął mruścić, spoglądając na ekran z triumfem w oczach. Urodził się drapieżcą, a to, że jego ofiara była wirtualna, nie miało dla niego żadnego znaczenia. Wygrał swoją grę i to właśnie teraz było dla niego najważniejsze.

W tym samym czasie kilka kroków dalej jego pan rozmawiał przez telefon.

– Cześć. Dzwonię z wielką prośbą. Wypadł mi wyjazd, nagle, nie zdążyłem zorganizować opieki dla Smokey, ani poprosić cię wcześniej. Czy

mogłabyś przez kilka dni... aha... naprawdę? Jesteś wielka, Jane. Jesteś wielka. Jest zapas jedzenia, wiesz gdzie. Tak. Tak. Dziękuję. Odwdzięczę się. Podrzucę klucz, gdy będę wychodził. Za dziesięć minut.

Mężczyzna spojrzał na kota. Smokey wpatrywał się w ekran telewizora, próbując złapać wskaźnik, którym prezenterka pogody pokazywała przesuwające się nize. Nie może go teraz zabrać ze sobą. Nie teraz. Spojrzał jeszcze raz na zawartość rozłożonej na łóżku walizki, która mogłaby być jedynie bagażem podręcznym. Wiedział, że nie może wziąć ze sobą zbyt wielu rzeczy. Nie może być jak wielki, rzucający się w oczy, powolny tankowiec. Musi być jak motorówka. Lekki, zwrotny, niezależny. I przede wszystkim szybki. Zamknął torbę. Na ten moment nie miał długofalowego pomysłu, wymyślił jedynie, co zrobi przez kilka najbliższych dni. Zima była po jego stronie.

„...fatalna pogoda panuje w Górach Skalistych, a spodziewane jest jej dalsze pogorszenie. Z powodu nadchodzącego huraganowego wiatru, zawiei i zamieci śnieżnych trasy narciarskie są zamykane, warunki drogowe już teraz są bardzo trudne...”

Wszedł do kuchni i otworzył puszkę kocie karmy. Nóż leżał wciąż na kuchennym stole. Poświęcił mu przelotne spojrzenie, sięgając do szuflady po łyżkę. Nałożył solidną porcję papki o smaku i – jak miał nadzieję – zawartości wołowiny z warzywami. Nigdy nie wiadomo, ile procent mięsa w tych karmach to faktycznie mięso, a nie przemielony papier toaletowy i inny szajs. Smokey najlepiej lubił surowe jedzenie. Wątróbkę, filet, serca. Ożywiał się na sam zapach surowizny. Fascynująca natura drapieżcy.

– Kici, kici.

– Miau!

Ich stała komunikacja. Bardziej było mu szkoda zostawić Smokey niż... myśleć o tym. Zabrał z kuchennego stołu nóż i włożył go między ubrania w walizce. Przez chwilę zastanawiał się jeszcze, co będzie potrzebne w górach. Bieliznę termiczną i ciepłe ubranie miał już na sobie, buty stały przy wejściu, a kombinezon narciarski zdążył wcześniej włożyć do samochodu. Gdzieś z tyłu głowy pulsowała myśl, dobijała się wręcz szaleńczo do ośrodków decyzyjnych, „krzycząc” wewnątrz jego głowy, że trzeba się spieszyć. Wyciszał tę auto-radę z pełną premedytacją. Nikt jeszcze nic nie wie. Pośpiech generuje błędy, rzuca się w oczy, obnaża ucieczkę.

„... jeśli nie musimy, nie wychodźmy z domu...”

Mężczyzna przerzucił torbę przez ramię, pogłaskał kota i wyszedł, zamykając za sobą drzwi na klucz. Przez chwilę stał przed wejściem, wsłuchując się w ciszę. Wszystko było na swoim miejscu, Smokey miał zapas jedzenia, a Jane zaopiekuje się nim przez kilka dni. Na zewnątrz również panowała cisza przerywana jedynie odgłosami wieczornego miasta. Zimny wiatr owiewał jego twarz, a śnieg zaczął padać mocniej. Mężczyzna zaciągnął kaptur głębiej na głowę i przyspieszył kroku, zmierzając w stronę swojego samochodu.

Parking był niemal pusty, co nieco go uspokoiło. Wsiadł do środka wozu, rzucił torbę na tylne siedzenie i odpalił silnik. Auto warknęło i zaczęło się rozgrzewać, a on spojrzał w lusterko wsteczne, jakby sprawdzając, czy ktoś go nie obserwuje. Zazwyczaj parkował w garażu, ale dopiero niedawno wrócił i wiedział, że znów będzie wyjeżdżał. Garażowanie miało się więc z celem, niemniej niezadaszony parking spowodował, że znów musiał odśnieżać samochód. Zrobił to szybko i sprawnie, nie tracąc zbędnych minut. Z każdym ruchem czuł, jak adrenalina

powoli przejmując kontrolę nad jego ciałem. Przygotowuje na to, co może go czekać zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Z powrotem wsiadł do środka, zapiał pasy i ruszył, mając przed sobą tylko jeden cel: przetrwać.

*

Granatowa Toyota Camry włączyła się do ruchu. Na przednią szybę prószył śnieg. Kierowca wpisał w GPS miejscowość turystyczną Park City. Trzydzieści dwie mile od Salt Lake City, w którym mieszkał. Czterdzieści minut jazdy, głównie autostradą międzystanową 80. Przy tych warunkach atmosferycznych w godzinę będzie w górach.

Każdy rdzenny Amerykanin wiedział, że najlepsze rejony na narty w USA to pas Gór Skalistych w Kolorado i Utah. Park City Ski Resort w Utah reklamował się szeregiem danych – największy teren narciarski w Stanach Zjednoczonych, siedemnaście stoków, trzysta tras, dwadzieścia dwie mile wyciągów, Zimowe Igrzyska Olimpijskie lokalizowane w Salt Lake City, a tak naprawdę odbywające się tutaj, trzydzieści mil dalej, w sercu gór. Mimo tego Park City wciąż nie pobił renomy i komercyjnego sukcesu Aspen w Kolorado, które przyciągało na narty całą amerykańską śmietankę. W Utah było mniej blichtru i przepychu. Kierowca toyoty uznał to za plus.

Postanowił, że wyruszy do schroniska, w którym kilka lat temu spędził noc. Pamiętał je dokładnie. Idealne miejsce przy takiej pogodzie, jaką dziś zapowiadali. Idealne, żeby odciąć się od wszystkiego. Ucieczka. To właśnie robi – ucieka. Przed kim? Przed życiem. Przed konsekwencjami. Przed sobą. Starał się nie przekraczać prędkości. Ślisko. Uznał więc, że szybka jazda jest po pierwsze niebezpieczna, a po drugie rzuca się w oczy. Nie chciał, żeby zatrzymał go pierwszy lepszy patrol drogówki.

Opady śniegu przybierały na sile. Wycieraczka pracowała intensywnie, jednak śnieg ma to do siebie, że utrudnia jazdę dużo bardziej niż deszcz.

Kierowca widzi jedynie białe punkty rozbijające się o szybę. Wyjechał o siódmej trzydzieści wieczorem, było ciemno. Jazda przez zaśnieżoną autostradę wymagała pełnej koncentracji. Śnieg na jezdni tworzył niebezpieczne warstwy lodu, a ciemność nadchodzącej zimowej nocy potęgowała trudności. Toyota sunęła ostrożnie, jej reflektory przecinały gęstą zawieję, rzucając długie, migotliwe cienie na drogę przed sobą. Silnik pracował równomiernie, a ciepło z nawiewów stopniowo rozgrzewało wnętrze auta.

Kierowca co jakiś czas zerkał na ekran GPS, gdzie podświetlona linia wskazywała trasę do Park City. Mimo trudnych warunków i coraz większych opadów czuł, że jest na właściwej drodze. Świadomość, że opuszcza miasto i zbliża się do gór, dodawała mu pewności siebie.

Radio w samochodzie nadawało lokalne wiadomości, przerywane co jakiś czas ostrzeżeniami o pogarszających się warunkach na drogach. „*Wszystkie trasy narciarskie w okolicy Park City są zamknięte z powodu intensywnych opadów śniegu i silnego wiatru...*” – głos spikera brzmiał jak echo w prawie pustym wnętrzu auta. Był w nim tylko kierowca. Osamotniony jeździec na życiowym zakręcie. Mężczyzna przyciszył radio, chcąc skupić się tylko na jeździe. Miał nadzieję, że gdy dotrze do schroniska, znajdzie tam spokój i chwilę wytchnienia od własnego życia.

*

Dojechał bez większych przygód, co niezmiernie go ucieszyło. Zaparkował przy jednym z wyciągów. Biało. Pusto. Silny wiatr targał zaspami śniegu, które wirując, unosiły się w powietrzu. Rozejrzał się po szalejącej wokół zimie, naciągnął mocniej kaptur na głowę i podszedł do zabudowań.

– Halo, dobry wieczór!

Za szybką budki z napisem „KASA” pokazała się zdziwiona twarz. Niezbyt jasna żarówka oświetlała wnętrze. Mężczyzna około sześćdziesiątki z brodą oprószoną siwizną miał na sobie grubą puchową kurtkę i wełnianą czapkę. Jego policzki były zaczerwienione od mrozu.

– Dobry wieczór, nieczynne.

– Nieczynne? A to czemu kasa otwarta i pan tu jest? Jest napisane, że wyciąg czynny do dziewiątej wieczorem, stok jest oświetlony.

– Mam zmianę to jestem, rano wyciąg działał, ale widzi pan, co się dzieje. Są przepisy. Ze względu na bezpieczeństwo turystów kolej kabinowa jest zatrzymywana, gdy prędkość wiatru wzrośnie powyżej trzydziestu pięciu mil na godzinę, a wyciągi krzesełkowe, proszę pana, już przy dwudziestu pięciu.

– A teraz jest ile?

– Czterdzieści trzy, a prognozy zapowiadają powyżej osiemdziesięciu! To huraganowy wiatr. Zawieje i zamiecie, zerowa widoczność, czwarty stopień zagrożenia lawinowego. Niebezpiecznie na równinach, w górach, proszę pana, śmierć.

– Ile stopni ma skala?

– Pięć.

– A więc jeszcze nie jest najgorzej.

Obaj mężczyźni wymienili serdeczne uśmiechy, choć w oczach kasjera widać było cięć niepokoju.

– Tak czy siak nie pojedzie pan wyciągiem na narty. Zresztą już jest prawie wpół do dziewiątej, w tej sytuacji pogodowej to byłoby szaleństwo. Proszę wrócić do domu.

– Nie chcę na narty, chcę do schroniska Rock Valley. To jest gdzieś na trasie, prawda?

Facet w kasie wydawał na coraz bardziej zaskoczony.

– Ale pan wie, co zapowiadają? Cyklon. Tej nocy nasypie tu tyle śniegu, że nikt jutro do Rock Valley nie dotrze! Pamięta pan cyklon Katrina w dwa tysiące piątym? Najbardziej morderczy huragan od dziesięcioleci. Setki zabitych! Prognozy sugerują...

Nie zdążył dokończyć, bo przybysz robił się coraz bardziej niecierpliwy.

– Panie, cyklon uderza z oceanu w wybrzeża. Nie jesteśmy w Luizjanie czy stanie Nowy Jork. To Utah, bez dostępu do otwartych wód.

– Chyba że zassie arktyczne powietrze w stały ląd, proszę pana. Góry rządzą się swoimi prawami. Wyciąg nie działa, nie pojedzie pan.

– Dobrze, w takim razie proszę mi życzyć szerokiej drogi. Tamtędy na szlak?

Na wpół oburzony i na wpół zaniepokojony facet w kasowym okienku potwierdził kiwnięciem głowy. Potem obserwował odchodzącego mężczyznę, dopóki jego sylwetka nie zniknęła za pierwszym zakrętem na leśnym szlaku. Przez chwilę zastanawiał się, co powinien zrobić w takiej sytuacji. Może wezwać jakieś służby? Co prawda Rock Valley było otwarte przez cały rok, ale wybranie się dziś samotnie w góry uznał za głupotę i nieodpowiedzialność. Za dużo akcji ratunkowych widział w swoim życiu zawodowym. Z drugiej strony tamten przybysz był dorosłym, trzeźwym mężczyzną i żadne prawo nie zabraniało mu pójścia w góry przy złej pogodzie. Mało to takich, co przed burzą idą? W końcu facet w kasie machnął ręką.

– Głupich nie sieją, sami się rodzą... – warknął pod nosem i zamknął okienko.

*

Jane siedziała na kanapie w mieszkaniu sąsiada i oglądała telewizję. Postanowiła pobyc trochę z jego kotem. W końcu serial może obejrzeć też tutaj. Przyniosła koc, chipsy i gorącą czekoladę. Za oknem przybywało białego puchu, co sprawiało, że w mieszkaniu było miło i przytulnie. Smokey właśnie skończył pałaszować smakołyki, tymczasem na ekranie spiker podawał kolejne wiadomości. Regionalny dziennik kończyła informacja o zabójstwie lekarza psychiatry w śródmieściu. Policja odmawiała szerszego komentarza na tym etapie śledztwa. Padły słowa „nożownik”, „za wcześnie by móc powiedzieć coś więcej”, a także „prowadzone są czynności operacyjne”. Jane ziewnęła znudzona. Smokey wdrapał się dziewczynie na kolana, mrucząc rozkosznie. W telewizji zaczęła się prognoza pogody. Jak nieustannie przez cały dzień, tak i teraz zapowiedziano intensywne opady śniegu.

Jane rozejrzała się po mieszkaniu. Czyste, schludne i zadbane. Jakby mieszkający tu mężczyzna nie spędzał w nim zbyt wiele czasu. Poniekąd tak było – Jane często opiekowała się Smokey pod nieobecność sąsiada, ponieważ ten miał dość intensywny tryb życia. Całkowicie poświęcał się pracy, kochał to, co robił. Nie przypuszczała jednak, żeby obowiązki wezwały go tuż przed Świętem Dziękczynienia. Może wybrał się do rodziny, ale czy wtedy zostawiłby kota? Jane nie umiała odpowiedzieć na to pytanie, wyczuwała jednak, że coś jest nie tak, samej nie do końca potrafiąc stwierdzić, co konkretnie. Może coś w jego głosie, gdy do niej zadzwonił. Może późna pora lub ta pogoda.

Przypomniła sobie ich ostatnią rozmowę. Był niespokojny, a jego głos brzmiał inaczej, jakby coś go trapiło. „Dzwonię z wielką prośbą” – powiedział wtedy. Prosił ją, aby zaopiekowała się Smokey na kilka dni. Nie wyjaśnił dlaczego. Teraz, siedząc na jego kanapie, zaczęła się zastanawiać, co mogło być powodem jego nagłego wyjazdu. Spojrzała na półki z książkami, głównie biografie, starannie poukładane z kilkoma osobistymi przedmiotami: zdjęcia rodzinne, pamiątki z podróży, nagrody. Zastanawiała się, co tak bardzo mogło go zaniepokoić. Zazwyczaj był świetnie zorganizowany i prosił o pomoc przy kocie z wyprzedzeniem.

Jane podeszła do okna, chcąc oderwać się na chwilę od swoich myśli. Wyjrzała na zewnątrz i natychmiast poczuła chłód przenikający przez szybę. Na zewnątrz szalała zamieć, śnieg wirujący w powietrzu tworzył białą ścianę, przez którą nie było widać ani jednego budynku, ani światła ulicznej latarni. Ulice Salt Lake City, zwykle tętniące życiem, teraz były puste i przytłoczone ciężarem śniegu. Wszystko było przykryte grubą warstwą puchu, a wiatr był przeraźliwie, jakby ostrzegając przed czymś nieznanym. Gałęzie drzew ugiwały się pod naporem śniegu, skrzypiąc złowieszczo. Krajobraz, choć piękny, miał w sobie coś upiornego. Jane poczuła dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa. Była całkowicie odcięta od świata zewnętrznego, a w mieszkaniu sąsiada panowała niepokojąca cisza, przerywana tylko odgłosami zamieci. W tej chwili czuła się bardziej osamotniona niż kiedykolwiek. Smokey, jakby wyczuwając jej niepokój, podniósł głowę i spojrzał na nią swoimi błyszczącymi oczami, dodając otuchy. Jednak niepokój nie opuszczał jej ani na chwilę.

Rozdział 2. Ofiara

Detektyw śledczy Mason Duarte zaparkował pomiędzy radiowozami. Niebiesko-czerwone światła rozświetlały okolicę niczym bożonarodzeniowe dekoracje. Do świąt zostało jednak jeszcze trochę. Koniec listopada, paskudny czas. Po drugiej stronie ulicy zdążyła już zebrać się grupka gapiów, nie przeszkadzał im nawet coraz silniejszy wiatr. Takie „atrakcje” zawsze przyciągają publikę.

– Duarte, jeden-pięć-pięć-siedem-trzy-dwa – rzucił w stronę policjanta pilnującego miejsca zdarzenia. – Co mamy?

Tamten uchylił taśmę, wpuszczając Masona do środka.

– Poderżnięte gardło. Mężczyzna, czterdzieści pięć lat.

– Kto tu dowodzi?

– Patrocky. Są też technicy. Drugie piętro.

Mason skinął głową i skierował się na schody. Budynek był dość nowym, niewielkim usługowcem w wysokim standardzie. Gabinet kosmetyczny, tłumacz przysięgły, ubezpieczenia, tego typu działalności. „*Prywatny gabinet lekarski. Psychiatra Austin Thompson*” informowała tabliczka na ostatnich drzwiach.

– Duarte! Kończymy – poinformował jeden z wychodzących z pomieszczenia mężczyzn. – Owen jest w środku.

– Jakież odciski?

– Dwa tuziny. Przewinęło się tu trochę ludzi dzisiaj albo sprzątaczką odwała fuszerkę. Narzędzia brak.

Mason wszedł do gabinetu, starając się nie zatrzeć żadnych dowodów. Wewnątrz panował chaos – krzesła były przewrócone, a biurko zasypane papierami i poplamione krwią. Na ścianach wisiały dyplomy i certyfikaty, teraz pokryte śladami zdarzeń, które się tu rozegrały. Spojrzał na ciało Thompsona, makabrycznie sine, z twarzą wykrzywioną w pośmiertnym grymasie pośród kałuży zastygłej krwi. Leżał na podłodze obok swojego biurka. Wydawało się, że ściany pomieszczenia zatrzymały echo ostatnich chwil jego życia. Kluczowe momenty dla całego śledztwa, których nie można było tak po prostu przewinąć i obejrzeć, jak nagrania na starych kasetach VHS.

Koroner Owen Patrocky i detektyw śledczy Mason Duarte znali się dobrych piętnaście lat wspólnej pracy dla Departamentu Policji Salt Lake City. Ich relacja, choć profesjonalna, była oparta na wzajemnym szacunku i zrozumieniu. Przez lata współpracy przy wielu sprawach kryminalnych, od morderstw po wypadki drogowe, stali się dla siebie kimś więcej niż tylko współpracownikami. Patrocky, z jego surowym, lecz sprawiedliwym podejściem do pracy i Duarte, znany z nieustępliwego dążenia do prawdy, zawsze potrafili znaleźć wspólny język, nawet gdy sprawy były wyjątkowo trudne.

Patrocky był znany z bezbłędnej, niemal mechanicznej precyzji w pracy, podchodząc do każdego śledztwa z zimnym profesjonalizmem i pełnym oddaniem dla faktów. Jego emocjonalna obojętność była znakiem rozpoznawczym, a każde ciało, które badał, jedynie zestawem danych do analizy. Duarte, z kolei, miał w sobie coś z intuicyjnego detektywa, który potrafił dostrzegać to, co umykało innym. Jego umiejętność wyczuwania subtelnych szczegółów i ukrytych motywów była często kluczowa w rozwiązywaniu najbardziej złożonych spraw. Uzupełniali się.

– Przyczyna zgonu? – zapytał Duarte.

– Uraz tętnicy. Wykrwawił się. Sekcja potwierdzi.

Duarte kucnął, przyglądając się bliżej zadany ranom.

– Zarżnięto go z rozmachem.

– Nie da się ukryć.

Zakrwawione biurko i ściana obok, porozrzucane papiery.

– Walczyli... – szepnął bardziej do siebie niż do Owena. – Albo ofiara miotła się już po przyjęciu ran.

Wstał, próbując ułożyć sobie w głowie klocki tej brutalnej układanki. W pomieszczeniu unosił się metaliczny zapach krwi, który mieszał się z subtelniejszym aromatem kawy, ledwo wyczuwalnym wśród chaosu. Duarte skupił się na detalach, które Patrocky mógłby uznać za mniej istotne. Biurko we krwi, przewrócone krzesła, porozrzucane papiery – to wszystko miało dla niego znaczenie, które wykraczało poza medyczne opisy.

– To wygląda na atak w afekcie – zauważył Mason, wpatrując się w miejsce, gdzie Thompson leżał. – Walka, chaos, złość. Coś musiało wywołać taki szal.

– Będziesz miał niezły orzech do zgryzienia – stwierdził Owen. – Gabinet psychiatryczny. Przychodzi tu sama śmietanka. Cały wachlarz zaburzeń. Każdy z jego pacjentów mógł to zrobić, na dobrą sprawę.

– Zwykle tak jest, że każdy każdego może zabić. A potem okazuje się, że krąg się zawęża, zawęża, aż nagle zostaje trzech, czterech graczy. I właśnie wtedy zaczyna się prawdziwa gra.

- Jesteś świrem.
- I mówi to specjalista od zwłok?
- W służbie ojczyźnie. Zabieramy go, zadzwonię po sekcji.

Mason spojrzał przez okno. Na zewnątrz technicy pakowali sprzęt do samochodów. Coraz silniejszy wiatr zrywał taśmy ostrzegawcze. Śnieg, który zaczął sypać, szybko przysłaniał miasto białym, gęstym płaszczem. Ciemne niebo i mroźna zawierucha sprawiały, że Salt Lake City wydawało się zanurzone w sennej, niemal surrealistycznej otulinie. Świetne warunki do ucieczki, całkowite przeobrażenie krajobrazu, niczym wymiana ubrań w szafie przed zimą. Żaden ślad sprzed godziny się nie ostanie.

Z drugiej strony większość ludzi w takiej pogodzie nie wychodzi bez potrzeby. Zwłaszcza w taki wieczór, tuż przed Świętem Dziękczynienia – siedzą w domach i marynują indyka. Czy morderca wrócił do swojego domu? Czy wyjechał gdzieś daleko, mimo zapowiadanych fatalnych warunków na drogach? A może kryje się gdzieś tu za rogiem, pośród gapiów lub w którejś z okolicznych kamienic, obserwując wszystko z okna. Duarte rozejrzał się dookoła. Wiedział, że byłoby to najbardziej prawdopodobne przy zaplanowanej zbrodni i zimnokrwistym sprawcy. Jeśli atak był w emocjach, zabójca najpewniej właśnie ucieka.

*

Willow Faylen, partnerka zawodowa Masona, dotarła na miejsce zdarzenia kwadrans później. Miała mundur i perfekcyjny makijaż.

- Od kiedy tak się odwalasz na oględziny zwłok? – zapytał Duarte, gdy tylko ją zobaczył.
- Miałam w planach randkę.

– O proszę. Ja też, z kuflem piwa i meczem Chelsea.

– Doborowe towarzystwo.

Faylen i Duarte tworzyli udany zawodowy duet, wizualnie też prezentowali się nienagannie. Willow miała kruczoczarne włosy, związane luźno w koński ogon. Duarte był całkiem przystojnym, jasnowłosym facetem, poza tym, że miał lekko krzywy nos. Drobnym defektem będącym skutkiem ubocznym zatrzymania nadpobudliwego podejrzanego kilka ładnych lat temu. Został mu rok do czterdziestki, a znakomite wyniki powodowały, że w wydziale krążyły plotki o jego rychłym awansie. Wszystko zależało od tego, jakie plany ma „góra” wobec Steve'a Cavendera, jego bezpośredniego przełożonego. Cavender dowodził Biurem Śledczym i niebawem mógłby pójść na wcześniejszą emeryturę, ale jak to zwykle w tym zawodzie bywa, każdy jest w pewnym stopniu pracoholikiem, a już na pewno nikomu nie spieszy się do niskich emerytalnych poborów. Zawsze warto popracować jeszcze kilka lat, żeby podbić podstawę naliczania świadczeń. Duarte też nie do końca pchał się za biurko. Lubił działać w terenie. A że czasem ktoś złamał mu nos... Faylen była pięć lat młodsza i zdecydowanie mniej doświadczona, jednak na tyle ogarnięta, żeby dostosować się do trybu pracy Masona. W rezultacie oni również świetnie się uzupełniali.

Policjantka przyjrzała się denatowi, zanim ludzie Patrockiego zdążyli zapakować go w czarny worek i zabrać z miejsca zdarzenia wprost pod sekcyjny nóż. Przez kolejne pół godziny Faylen i Duarte przeczesywali gabinet psychiatryczny cal po calu, szukając czegoś, co mogłoby ich naprowadzić na trop.

– Pierwsze wrażenie, Will. Co pomyślałaś?

– To, co każdy. Że to pacjent.

– Dlaczego?

– Taka specyfika zawodu. Pacjent-świr, niezrównoważony psychicznie.

– Dlaczego?

– Bo był zdenerwowany, zły.

Zawsze robili to w ten sam sposób. Willow mówiła, co myśli, kierując się jedynie pierwszym wrażeniem i intuicją, a Mason zadawał w kółko to jedno pytanie.

– Dlaczego?

– Może doktor nie potrafił mu pomóc. Nie potrafił wyleczyć go z depresji.

– Dlaczego?

– Bo był kiepskim lekarzem?

– Przestałaś stwierdzać, zaczęłaś pytać, więc sama w to nie wierzysz. Ludzie w depresji statystycznie częściej popełniają samobójstwa niż zbrodnie na osobach trzecich.

– Może to lekoman. Na głodzie.

Willow widziała już takich. Lekomanów, którzy desperacko potrzebowali kolejnej dawki i niewiele różnili się od narkomanów. Ich zachowanie było charakterystyczne – drżenie rąk, nadmierna potliwość, wytrzeszczone oczy i niespokojne ruchy. Byli jak zwierzęta w klatce, niezdolni do racjonalnego myślenia, gotowi zrobić wszystko, aby zdobyć upragnioną substancję. Zdarzało się, że atakowali innych ludzi, najczęściej tych, którzy odmawiali im pomocy. Często jednak kończyli, kradnąc recepty lub medykamenty, a gdy brakowało im możliwości, stawali się

nieprzewidywalni i niebezpieczni. To był świat pełen ciemności i rozpacz, a Willow widziała, jak głęboko potrafiła zapaść się w nim ludzka dusza.

– Lepsze – przyznał Mason. – Niewypisana recepta to dobry motyw dla kogoś na głodzie.

– Potrzebujemy listę pacjentów.

– Przede wszystkim. Poza tym standardowo, czyli wszystko, co zapisywał w terminarzu i kalendarzu, wyciągi bankowe, spis kontaktów z komórki,ilingi, dokumentacja od jego księgowej, może jakieś lewe interesy. Odczyt monitoringu z okolicy. To mógł być każdy. Matka, żona lub kochanka. À propos, najpierw musimy...

– Wiem. Powiadomić żonę. Jedźmy.

Wyszli na śnieżycę. Willow zadzwoniła do centrali zapytać o aktualny adres Thompsona.

– Jezu, jaka pogoda – szepnęła, otulając się ciasniej policyjną kurtką.

– Pojedziemy moim, podrzucę cię później pod samochód. Może jeszcze się tu wtedy rozejrzę. W tym zgiełku, gdy przy denacie kreci się pół komendy, ciężko zebrać myśli.

– Uwaga, dziś i jutro silny wiatr, opady śniegu, zawieje i zamiecie. – Willow odczytała SMS-a, który piknął przed momentem w jej kieszeni. – Możliwe przerwy w dostawie prądu. Unikaj otwartych przestrzeni. Zabezpiecz rzeczy, które może porwać wiatr.

– Jestem z tych, co nigdy nie noszą parasolki, bo nigdy nie sprawdzają pogody.

– Ale jakiś parasol w domu masz?

– Nie wiem.

Uśmiechnęła się ciepło. Ruszyli przekazać wieści, których nikt nie chciałby usłyszeć. Nad Salt Lake City zapadał mroźny zmierzch.

*

Śnieżycą przybierała na sile, a ulice były pokryte grubą warstwą śniegu. Pługi śnieżne ledwie nadążały z odśnieżaniem, a samochody sunęły powoli, walcząc o przyczepność na oblodzonych nawierzchniach. Willow i Mason jechali w milczeniu, skupieni na trudnych warunkach drogowych. Migające światła uliczne odbijały się w śnieżnej zawiei, tworząc surrealistyczny krajobraz. Miasto, zazwyczaj tętniące życiem, teraz wydawało się ciche i zamknięte w zimowym letargu.

Gdy dotarli na przedmieścia, domy zaczęły się przerzedzać, ustępując miejsca rozległym, białym połaciom. Droga do Carli Thompson prowadziła przez jedną z bardziej odludnych dzielnic, gdzie śnieg leżał jeszcze grubszymi zaspami, a wiatr hulający między budynkami sprawiał, że każda próba manewrowania była wyzwaniem. W końcu, po kilkunastu minutach jazdy, w oddali zamajaczył dom Thompsona. Mason włączył kierunkowskaz i powoli zjechał na podjazd, starając się nie wpaść w poślizg. Willow z trudem otworzyła drzwi samochodu, a lodowaty wiatr natychmiast wdarł się do środka, smagając ich twarze.

– Jesteśmy – powiedział Mason, gasząc silnik. Spojrzeli na siebie porozumiewawczo, wiedząc, że najtrudniejsza część tej nocy dopiero przed nimi.

Wyszli na zaśnieżony podjazd. Dom był piękny, duży, zadbane.

Mason Duarte nacisnął dzwonek do drzwi. Niemal namacalnie wyczuwał napięcie. Stojąca obok Willow Faylen ścisnęła w dłoni odznakę.

Piękna okolica nowoczesnych, przytulnych domów z ogrodami. Bogaci ludzie. Drzwi otworzyła zadbana kobieta, na oko czterdziestokilkuletnia. Miała starannie ułożone blond włosy, delikatny makijaż podkreślający wyraziste, niebieskie oczy i elegancki strój – ciemne, dopasowane spodnie i kremową bluzkę z jedwabiu. Wyglądała jak ktoś, kto pracuje w branży finansowej albo zarządza własnym biznesem. Widać było, że dba o każdy szczegół, od nienagannie wypielęgnowanych paznokci po schludne, profesjonalne pierwsze wrażenie.

– Pani Thompson? – Głos Masona nie zdradzał emocji.

– Ta-k... Czy coś się stało?

Wiedziała.

Widział to w jej oczach. Jakich wieści można spodziewać się od policji, która późnym wieczorem puka do drzwi domu, do którego wciąż nie wrócił jeden z domowników?

Tylko złych. Najgorszych.

Zwalających z nóg wieści o wypadku. Nie. Wiedziała, że nie. Wtedy zadzwoniliby ze szpitala. Powiedzieli, że mąż leży tu i tu, złamał to i to, stan jest stabilny, bądź ciężki, być może nawet krytyczny. Szpital znajduje się tu i tu. Wtedy złapałaby kluczyki i torebkę, narzuciła płaszcz, wybiegła na zaśnieżony podjazd w zapewne zbyt lekkich butach. Adidasach, które stały na tyle blisko drzwi wejściowych, by odruchowo założyć je w pośpiechu, mimo że nie pasowały do reszty jej stroju. Pojechałaby jak na sygnale, łamiąc tuzin przepisów, nie dbając o własne bezpieczeństwo, narażając się na mandat. Potem w meandrach szpitalnych korytarzy w końcu odnalazłaby to miejsce. Salę, w której mogłaby go zobaczyć lub jedynie czuwać pod drzwiami, przepełniona szaleńczym,

obezwładniającym zdenerwowaniem. Jedyne, co trzymałoby ją w ryzach, to nadzieja.

Tam wciąż mogłaby ją mieć.

Nie tutaj. Nie w drzwiach własnego domu, mając przed sobą dwoje funkcjonariuszy z grobowymi minami.

Policjantka po krótkim wstępie powiedziała, że bardzo przykro jej poinformować, że pan Austin Thompson nie żyje. Słowa dochodziły gdzieś z oddali, jakby otulone watą, nierealne, być może nawet były inaczej sformułowane, mózg jednak wychwytywał jedynie sens.

A potem usłyszała własny, równie odległy krzyk.

*

Kwadrans później siedzieli na kanapie w salonie Carli. Po raz kolejny spytała, jak to się stało. Policjanta tłumaczyła jak na slow motion. Mason w tym czasie bacznie przyglądał się reakcjom kobiety, jednocześnie rzucając okiem na otoczenie. Salon był elegancką enklawą domowej przestrzeni Thompsonów, wykończoną w minimalistycznym stylu – ciepły, a jednocześnie wyrafinowany. Przestronne wnętrza wypełniały delikatne odcienie szarości i beżu, które tworzyły harmonijną paletę barw. Wysokie, odsłonięte okna pozwalały na wpuszczenie miękkiego, nocnego światła. Na dębowych podłogach, lśniących jak po woskowaniu, leżały ręcznie tkane dywany w stonowanych odcieniach, które dodawały przytulności i elegancji. „Czuć pieniądze”, pomyślał Duarte.

Kanapa, na której siedzieli, była bardzo wygodna, z obiciem w odcieniu zimnej szarości, które idealnie pasowało do reszty aranżacji. Obok na niskim stoliku kawowym z ciemnego drewna leżały magazyny o nowoczesnym designie oraz kilka dekoracyjnych świec. W rogu pokoju,

wkomponowany w elegancką zabudowę, stał nowoczesny, a zarazem dość subtelny i kameralny kominek. Choć obecnie nie palił się w nim ogień, emanował ciepłem i charakterem, wprowadzając nutę domowej przytulności do tej poniekąd sterylnej przestrzeni. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnęły się półki wypełnione literaturą i albumami, starannie uporządkowane, zapewne opowiadające historię rodziny. Rośliny doniczkowe w eleganckich, minimalistycznych osłonkach dodawały życia i koloru, ich zielone liście kontrastowały z chłodnym tłem salonu. W powietrzu unosił się subtelny zapach lawendy, który miał działanie kojące, choć w tym momencie atmosferę w pokoju przenikało napięcie, smutek i ból.

– Zabójstwo lub morderstwo... – szepnęła Carla, powtarzając jedno z usłyszanych przed momentem zdań. – Czym to się różni?

Mason spojrzał na nią z wyczuciem, starając się znaleźć odpowiednie słowa.

– W prawniczym żargonie różnica między zabójstwem a morderstwem polega głównie na okolicznościach i intencjach – wyjaśnił. – Zabójstwo to ogólny termin, który oznacza celowe pozbawienie kogoś życia. – Zatrzymał się na moment, czując, jak brutalnie to brzmi w kontekście sytuacji, w której się znaleźli. – Natomiast morderstwo – kontynuował powoli – to specyficzny rodzaj zabójstwa, który wiąże się z pewnymi okolicznościami, takimi jak zamiar i premedytacja.

Carla zmarszczyła brwi, próbując zrozumieć.

– Morderstwo to więc najcięższa forma zabójstwa. Zwykle zakłada, że sprawca działał z pełną świadomością i zamiarem. Może to oznaczać, że planował zbrodnię z wyprzedzeniem, czekał na odpowiedni moment albo działał w sposób szczególnie brutalny. Rozumie pani? – zapytał odruchowo,

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

